wiczych za nim pobiegło. Gdyby nie to, któż wie czy Händel nie byłby został kantorem przy kościele Maryi Panny w Lubece, zamiast podróżować do słonecznej Italii?

Jeszcze tego samego dnia przybyła deputacya do młodzieńca, aby mu ofiarować urząd organisty na całe życie. Przedtem jednak między nim a Mattheson miała miejsce rozmowa, wskutek której Händel zaszczytne to stanowisko odrzucał pod pozorem, że wiązać się nie może. Mattheson był innego zdania. Tajemnie postarał się o posadę i wyborcy zgodzili się na to — główny wyborca wszelako, różowa, świeża, złotowłosa dziewczyna, młodsza siostra zmarłego organisty odrzuciła go stanowczo i sekretarz angielskiego rezydenta w niezbyt świetnym humorze zaraz za pupilem swoim do Hamburga powrócił.

Czy jerzy Händel dowiedział się później, że Mattheson okłamał go, gdy w owej rozmowie prowadzonej w cztery oczy, dużą ciemną kobietę wskazał mu jako przyszłą żonę? Niewiadomo, to tylko pewne, iż w rok potem między obydwoma zaszło nieporozumienie, którego powodu nie umiał nikt wytłómaczyć.

Biografowie wspominają nawiasowo o sprzeczce Händla z Mattheson, przy której zabrzmiał policzek, w następstwie czego obydwaj wyjęli szpady i w publicznem miejscu w Hamburgu na targowicy pojedynkowali się. Szczęściem klinga Mattheson na metalowym guziku przeciwnika rozprysła się w kawałki. To zakończyło sprawę, zapaśnicy pojednali się, ale do tkliwszej przyjaźni między nimi już nigdy nie przyszło, aczkolwiek Mattheson w swych pamiętnikach wystrzega się wzmianki o zwadzie, starając się natomiast wszelkiemi siłami przedstawić jako opiekun później wsławionego i uwielbianego kolegi.

Podróż do Lubeki wspomina Mattheson w swym dzienniku następnemi słowami:

— Wiem pewnie, Händel śmiać się będzie, lubo teraz rzadko kiedy do tego jest usposobionym, gdy przypomni sobie podróż naszą do Lubeki, a szczególnie handlarza gołębi i pasztetnika, który nam w czasie gry na organach kalikował.

LEON GOZLAN.

Historya o stu trzydziestu kobietach

6)

Porucznik Grant nie śmiał oczu podnieść; trzymał chustkę na ustach jak człowiek, który się lęka zemdlenia i chce ukryć swoją słabość. Porucznik Thompson, jak urzędnik sądowy, notujący każde słowo w protokóle sprawy, powtarzał pisząc: „podłymi rabusiami, zbójcami".

— Ten czyn, jakikolwiek on jest — odpowiedział Carter, odpychając trzonkiem toporu, który trzymał w ręku, tłum, cisnący się na galeryę — czyn ten jest już dokonanym.

— Nie, nie jest jeszcze dokonanym — odpowiedziała z tą samą gwałtownością i tem samem drżeniem nerwowem gniewu lady Forster.

— Przepraszam panią — odrzekł zimno Carter — już wszystko skończone.

— Przepraszam pana, bo wcale nieskończone jeszcze.

To wyrażenie „przepraszam pana" ze strony lady Forster było najstraszliwszą obelgą, wymierzoną przez nią Carterowi; tylko kobiety posiadają tę sztukę, żeby umieć jednem grzecznem słowem zranić tak straszliwie.

— Panie kapitanie — rzekł Carter — chciejże wytłumaczyć pani...

— jesteście buntownikami i nie znam was wcale — odpowiedział mu drugi raz odważny i godny kapitan.

— Ale rozkażcież rzucić do wody tę hołotę — rzekła znowu pani Forster, zwracając mowę zarazem do sir Granta, coraz więcej blademu i przerażonego, do porucznika Thompsona, ciągle zajętego pisaniem raportu i do swojego męża, który wiedział dobrze o niepodobieństwie wypełnienia jej żądania.

Carter uśmiechnął się spokojnie.

Zbuntowani coraz więcej niecierpliwiąc się, zaczynali wstępować na schody galeryi.

— Rzućcie ich do morza — powtórzyła jeszcze z większą wściekłością lady Forster — rzućcie do morza tych wszystkich zbójców i nierządnice.

Tłum zbuntowanych zasyczał jak dzikie zwierzęta, a owe kobiety, pomięszane z nimi, odpowiedziały śmiechem pogardy na tę obelgę szlacheinej lady, której krew wybiegła na czoło. Jedna nawet z deportowanych zbliżyła smolną pochodnię do brzegu muślinowej sukni pani Forster w zamiarze zapewnie zapalenia jej, ale ta ostatnia odepchnęła pochodnię nogą i przycisnąwszy ją gorejącą i dymiącą trzewikiem, plunęła w twarz deportowanej.

Ta śmiałość oddziałała na tłum.

— Ale każcie ich rzucić do morza! — wołała ciągle lady Forster, nie mogąc się już posiąść z gniewu i wściekłości.

Pod pierwszym porucznikiem nogi uginały się ze strachu.

— A komuż pani każesz rzucić nas do morza? — zapytał znowu Carter, za którym ryczał tłum cały słowami gniewu i zemsty, cisnąc się gwałtownie na galeryę.

— ją to, ją trzeba wrzucić do morza! — wołali wszyscy — Tak, trzeba rzucić ją do morza, do morza tę, która biednej Karolinie Prior dwadzieścia plag wymierzyć kazała; do morza! do morza! do morza!

— Oto jest ta biedna Karolina Prior! — wrzeszczały znów inne głosy — oto jest ta nieszczęśliwa ofiara!

Ale wykrzyk: „do morza!" tłumił wszystkie inne.

— Komuż ja rozkażę — odpowiedziała ironicznie lady Forster, jak gdyby nie słyszała tych gróźb i wykrzyków. — Nasi żołnierze! ale cóż robią nasi żołnierze? gdzież oni są? gdzież są oficerowie nasi? gdzie broń? gdzie oręże?

— Zgruchotaliśmy, pani, waszych żołnierzy, oficerów, broń i oręże — odpowiedział Carter, nie utraciwszy ani na chwilę zimnej krwi swojej, chociaż czuł zbliżającą się już chwilę przesilenia. — Zgruchotaliśmy je.

— Tak, jak wy zgruchotani zostaniecie w pierwszym lepszym porcie, do którego zawiniemy, tak jest, wy wszyscy odpokutujecie na szubienicy podłą zbrodnię waszą.

A wrzawa rosła coraz to straszliwsza, okropna, nieustająca i grzmiąca wyrazami śmierci. Majtkowie, deportowane, pochodnie, zardzewiałe pałasze, wypolerowane topory, silne puginały, szpady żelazne, muszkiety, wszystko to pokrywało pomost i cisnęło się na galeryę, coraz więcej ścieśniając w swojej żelaznej obręczy małą grupkę, utworzoną z kapitana Forstera, jego żony, sir Granta, porucznika Thompsona i kilku oficerów.

— Mówisz pani, że każesz nas powiesić w pierwszym porcie, do którego zawiniemy, a czyliż masz jeszcze nadzieję zawinąć do jakiego portu?

— Nie, niema już portu dla ciebie! — krzyknęli zbuntowani — nie... nie... nie...

— Powtarzam wam, że wszyscy pójdziecie na szubienicę — mówiła dalej lady Forster, której głos zagłuszała wrzawa przekleństw, rzucanych na nią, a przygłuszał smolny dym pochodni, kopcący jej twarz i tamujący oddech. Zmęczona nareszcie i oburzona, że zniżyła się aż do walki na słowa z naczelnikiem powstania, lady Forster rzuciła się na swojego męża i wyrwawszy mu szpadę z pochwy i potrząsłszy nią kilka razy nad głową, zawołała:

— jeżeli znajduje się jeszcze na tym okręcie człowiek ze szlachetnem sercem, który nie zapomniał o tem, że życie jego do Anglii należy, niech będzie mi posłuszny i da ognia do tej hołoty.

Milczenie głuche zaległo cały pomost.

Kapitan Forster rzekł po cichu:

— Milady, cóżeś uczyniła?

Grant zachwiał się jak człowiek, pod którym się uginają kolana; gdyby nie ręka Thompsona, na której się oparł, byłby upadł na pomost. Ostatni szczątek uszanowania dla szlif, które nosił, podtrzymał go jeszcze przez chwilę i Bóg jeden tylko był świadkiem jego podłości.

Thompson zanotował na swoim raporcie słowa lady Forster.

— Czyż nikt nie da ognia do tych nędzników? — zawołała ona znowu.

Wszyscy majtkowie byli w osłupieniu, nie mogąc wierzyć, żeby kobieta śmiała wydać taki rozkaz i nie przypuszczając, żeby ktokolwiek śmiał go wypełnić.

Widząc bezskuteczność słów swoich, lady Forster z zaognionemi oczyma, z wargami drżącemi od wściekłości, zawołała na sir Granta, porywając go za rękę:

— Dowiedźże pan, dowiedźże na Boga, że jesteś mężczyzną i nie dozwolisz słabej kobiecie zawstydzić się w odwadze.

I popychając sir Granta aż do półdziałka, które nieruchomie na swojej lawecie stało na galeryi, lady Forster, ciążąc na nim swoim elektrycznym wzrokiem, zmusiła go gwałtem prawie do popchnięcia deklu. Wystrzał huknął i kartacze sypnęły się na spiskowych.

Cały tłum wydał tylko jeden krzyk, ale jaki krzyk? Echo jego dojść musiało aż do dna morza. Potem głuche milczenie przez kilka sekund i nareszcie zawrzały tysiące wściekłych głosów.

— Śmierć! śmierć! śmierć im wszystkim.

I tysiąc rąk podniosło się razem i tysiąc różnorodnych broni zagroziło małemu gronku oficerów.

Chwilę jeszsze, a groźba miała być uskuteczniona.

— Nikt nie umrze! — zawołał Carter — bo nikt nie został zabitym.

I istotnie, dziwnem jakiemś i cudownem szczęściem kartacze przeleciały ponad głowami tłumu i nikt nie był nawet raniony.

Przez nadludzkie wysilenie herkulesowych nerwów swoich, Carter zdołał jeszcze ocalić życie kapitana Forstera, ale ubiory oficerów podarte, poszarpane na kawałki wraz ze szlifami, szmatami wstążek i muślinu, pendantami i złoceniami, zaległy ziemię.

— Trzeba przykładu! — zawołał Ascott, Ascott, który co do wpływu, jaki wywierał na swoich towarzyszy, mógł walczyć o pierwszeństwo z Carterem, a w okrucieństwie stokroć go przewyższał, Ascott, na którym opierała się ciągle piękna i olśniewająca Prozerpina.

— Trzeba przykładu! — zawołał mulat Samuel, zbliżając się ze sznurem zarzuconym na ramię.

— Tak, tak, trzeba przykładu! — zawołał Irlandczyk Preston, który wycierpiał był karę na miejscu Karoliny Prior — i zaraz dowiemy się, jakim się to stało sposobem.

— Trzeba przykładu! przykładu! — zakrzyczały głosy kobiece, dziewczęce, świeże jeszcze i ochrypłe już rozpustą, wyuzdane głosy mesalin angielskich, głosy megier, w których się przebijała miłość mocnych trunków, złodziejstwa, rozbójstwa, piekło całe, wszystko krzyczało: — „Przykładu! przykładu! przykładu!!"

I z tych wszystkich wykrzyków przedarł się jeden silniejszy i wyraźniejszy od innych: „Sir Grant na drąg żaglowy, powiesić go, powiesić dla przykładu!" Chwila ta była straszliwa dla sir Granta. Twarz jego pobladła, oczy otoczyły się siną obrączką, a zęby szczękały jedne o drugie.

Carter rzekł po cichu do kapitana Forstera:

— Niech pan powie słowo za nim, a może...

— jesteś buntownikiem i nie znam cię wcale! — odpowiedział kapitan Forster.

— Tak, tak kapitanie — mówił sir Grant, składając ręce i błagalne na kapitana rzucając spojrzenie — wstaw się za mną, wszak to twoja żona mnie zgubiła, ona mnie zmusiła do tego kroku.

— Podły tchórz! — mówiła lady Forster — podły tchórz i jam go mogła kochać!

Mulat zarzucił stryczek na szyję sir Granta.

Przestrach pierwszego porucznika niepodobny jest do opisania; twarz jego z bladej zrobiła się zielonawą, jedną ręką przyczepił się siłą tonącego do poły munduru kapitana, drugą zaś rozpaczliwie usiłował rozplątać węzeł, coraz mocniej za szyję go ściskający, ale to było niepodobnem, bo ręka mulata wprawna do łapania na stryczek dzikich koni i byków, coraz bardziej ściskała węzeł; sir Grant jęcząc, odzywał się przerywanemi wyrazami, odwołując się do litości każdego z osobna.

— Kapitanie... pani... sir Thompson... ratujcie mnie... zabiją mnie, zabiją... jam nic przecie nie uczynił... byłem wprawdzie z nimi surowy czasami, ale wypełniałem tylko mój obowiązek... Przecież to nie ja skazałem na plagi Karolinę Prior... jam nic nie winien w tym wystrzale armatnim, przymuszono mnie... tak, przymuszono... O! to straszne, okropne, zabijacie mnie nędznicy... przez Boga! nie ściskajcie tak stryczka... łaski! łaski! łaski! zmiłujcie się nademną... nie zabijajcie mnie... wszak nie macie prawa mnie zabijać.

A majtkowie śmiali się, bo to ucieszne dla nich było widowisko.

(Ciąg dalszy nastąpi).